



# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI





## PORADA LEKARSKA.

— Wiesz co Zosiul — Józio powie,  
Pyszna myśl mi świta w głowie:  
Lekcyi niema, wolna pora,  
Zabawimy się w doktora.

Wnet się cała rzecz układa,  
Zosia na krzeselku siada,  
I niby nianka stroskana,  
Bierze kotka na kolana,

Co udawać ma chorego,  
Józio staje obok niego,  
Józio?... nie! to doktor stary:  
Ma na nosie okulary,

Palto długie aż po pięty  
I kapelusz w tył zsunięty.  
A w kieszeni faszka wielka,  
To z miksturą jest butelka.

Słowem istny doktor z niego,  
Za łapkę ujął chorego,  
I w poważnej swej odzieży,  
Puls z zegarkiem w rękę mierzy.

Tak się bawią doskonale,  
Kot zaś się nie gniewa wcale,  
Bo wie, że go za to czeka  
Myszka, lub spodeczek mleka.

dzieci mogą odbywać odpowiednie ćwiczenia, a nawet urządzane są dla nich zabawy.

Nie sam jednak ten oddział zawiera ciekawe okazy, spotykamy je wszędzie. Ot np. w oddziale antropologicznym, gdzie zgromadzone są różne wiadomości dotyczące się człowieka, który po grecku zowie się *antropos*, można za pomocą bardzo prostego przyrządu zmierzyć, jak wielką jest siła ręki a to bez mocowania się, bez probowania, nieraz pociągającego za sobą złe skutki.

Wyliczyć te rzeczy ciekawe bardzo trudno, bo trzeba by całe arkusze napisać. Można np. za pomocą mikroskopu zobaczyć bakterye, powodujące choroby zakaźne, a wszędzie w pewnych godzinach są osoby, udzielające chętnie objaśnień na zapytania publiczności, tłumaczące do czego służą dane przyrządy, jak ich należy używać, pod każdym więc względem zwiedzając wystawę porządnie, skorzystać można, gdyż są tam zgromadzone rzeczy, które inaczej trzeba by wyszukiwać z trudem w różnych miejscach.

Jako ciekawość, jest tam diorama przedstawiająca dawną Warszawę według obrazu malowanego w r. 1772. Boć ta nasza Warszawa ciągle zmienia się w oczach, a ktoby jej nie widział przez dziesiątki lat nie mówiąc wcale o wieku, sądziłby nieraz, że go zawieziono do obcego miasta. Ot np. dźwignęły się w ostatnich latach dwa ogromne i bardzo piękne choć jeszcze nieskończone kościoły św. Augustyna z wysoką wieżą przy ulicy Dzielnej i św. Floryana na Pradze, a co wspańiały domów, wyglądających na pałace! Sam plac Wystawy higienicznej stanowi nową zdobycz dla miasta, bo jest projekt założenia tam pięknego ogrodu. Warto więc zobaczyć czem było nasze miasto, porównać naocznie z tem czem już jest dzisiaj.

W. M.

## WYSTAWA HYGIENICZNA.

Wystawa higieniczna! Co to być może? spyta zapewne niejedyn. Pytanie to nikogo dziwić nie powinno, bo można się dobrze zastanowić nad trudnością, której przedmiotem mają być rzeczy higieniczne czyli służące zdrowiu, i co do niej właśnie należeć powinno. A jednak takie wystawy urządzane są we wszystkich krajach i mają bardzo doniosłe znaczenie, gdyż zadaniem ich jest zaznajomić ogół z różnemi kwestyami, dotyczącemi się zdrowia, zatem jak należy jeść, spać, oddychać, ubierać się, bawić się, ażeby osiągnąć jak największy pożytek dla ciała, które tak wielki wpływ wywiera na nasze usposobienie.

Starożytni utrzymywali, że tylko w zdrowem ciele mieszka zdrowa dusza, a chociaż w zupełności nie możemy uznawać tego zdania, bo wiemy, że nieraz ludzie słabi i schorowani, gdy byli ożywieni jakąś dobrą myślą, gorącą miłością bliźniego, dopełniali dzieł wielkich, niemniej wszystkiemu łatwiej podołać, znieść trudy i przykrości kiedy się jest zdrowym, z rozwiniętymi siłami fizycznymi, kiedy się ma dobry wzrok i słuch.

Wystawa więc przedstawia wzorowe urządzenia mieszkań, szkół, sal fabrycznych; sposoby usuwania pierwiastków szkodliwych, które przy różnych przemysłach zanieczyszczają powietrze, obznajmia ze sposobami zapoznania przemyślności fałszowań w pokarmach. Można więc na niej obejrzeć wiele naukowych rzeczy, a tem samem nauczyć się wiele. Wystawa osobny dział poświęciła dzieciom, tak w pierwszych latach życia jak w czasie nauki. Ten dział najwięcej was obchodzić powinien, tembardziej, że oprócz wzorowej sypialni i całego urządzenia dzieciennego pokoju oprócz zabawek właściwych i szkodliwych, któremi naturalnie bawić się nie należy, jest gimnastyka i w niektóre dnie

## NIEZNAJOMA Z PODDASZA

powieść przez

Brzoniśławę Sozańską.

(Dalszy ciąg).

I znów moje dobre postanowienia zostały tylko marzeniem, urzeczywistnić ich nie mogłam.

Przy pierwszej rozmowie naszej, dostrzegłam, że ostygło serce drugiej matki, nie jej to zresztą było winą, wyiębiłam je sama.

Słowa które miałam wypowiedzieć, uwieźły mi w gardle, zacięłam się, i zostało wszystko po dawnemu.

Ale życie takie było dla mnie męczarnią, postanowiłam wyjść za mąż, aby nie być w domu tem kółkiem naddatkowem, istotą, psującą harmonię domowego życia.

Wybór mój padł na człowieka nie pierwszej młodości, ale zacnego, rozumnego i bardzo bogatego.

Co mnie szczególniejsz skłaniało do niego, to to, że nie miał rodziny, prócz jednego przyrodniego brata, a po drugie, że mieszkiał o dwadzieścia mil od domu mego ojca.

Bratu mego męża, słów parę poświęcić muszę.

Był on młodszym lat kilka od mego męża, jednej matki, lecz innego ojca, różnili się też od siebie wszystkiemi prawie.

O ile mąż mój był poważnym, o tyle tamten żywym i rozmownym. Ojca stracił mając lat dziesięć, wychowywała go matka słaba i pobłażająca, wzrastał więc samowolny i nie oglądający się na nic i na nikogo. Majątek jaki wziął po matce, bo ojciec jego nie posiadał żadnego, tracił bez zastanowienia, a gdy go mój mąż upominał i surowemi karmił słowy, pogniwiał się i zaprzestał bywać w naszym domu.



Dowiedzieliśmy się wkrótce, że zaręczył się z jakąś ubogą, z własnej pracy utrzymującą się panienką, z czego mąż, mój ucieszył się myśląc, że może obowiązki zmieniają jego burzliwy i nieco lekki charakter, a że grunt był szlachetny i prawy, spodziewaliśmy się korzystnej zmiany.

Mąż mój umyślił oddać mu w dzierżawę jeden ze swych folwarków, który przeznaczył dla niego, nie oddając do tej pory jedynie dla tego, aby go nie stracił, nie nauczywszy się przedtem jak majątek szanować należy. Zaszły zmiany w naszych interesach, a zbiegiem różnych okoliczności, straciliśmy cały nasz, dość znaczny majątek, zamiary mego męża spełzły na niczem. Odtąd o bracie mego męża nie słyszałam wcale, nie wiem czy żyje dotąd, znikł on mi z oczu a gdzie się obraca, pozostanie to pewnie dla mnie na zawsze tajemnicą.

Po tem zboczeniu, wracam do opowiadania o dalszem życiu mojem.

Moje zamążpójście, miało być niby poświęceniem z mej strony, chciałam moją obecnością, nie mieć domowego pokoju i szczęścia.

Wyszędłszy za mąż, zaczęłam przychodzić do pewnej równowagi, gdyż mąż mój, był nie tylko człowiekiem wykształconym i zacnym, ale dobrym, tą dobrocią rozumną i szlachetną, co to umie pociągać ku sobie.

Tak upłynęło lat kilka, Bóg dał nam dwoje dzieci, a jakim one były dla mnie szczęściem, tego wypowiedzieć usta ludzkie nie mogą, rozumieją to tylko matki.

Ale szczęście nie było mym udziałem na ziemi, nastąpiły dla mnie dni tak straszne, że mówić o nich nie wiem czy będę w możności.

Straciliśmy męża i cały majątek, jaki posiadaliśmy.

Ojciec mój zmuszony był wyjechać bardzo daleko, a majątek jego stał się ruiną.

Pani Brzeska chciała o coś zapytać, ale pan Brzeski skinął na żonę aby nie badała, domyślając się, co tam w tem biednem sercu dzieć się musi.

Głośno zaś dodał:

— To pewnie dość będzie na dzisiaj, zostawmy resztę na później, nadto się pani męczysz.

— Nie — odrzekła, otrząsając się z chwilowego przygnębienia — chciałabym to już raz skończyć.

— Jeszcze nie późno — szepnął Władek, który słuchał opowiadania z wielkiem zajęciem.

Wańdzia miała łzy w oczach.

— Mój Boże, jakaż pani była nieszczęśliwa — rzekła, całując z uczuciem rękę nieznajomej.

Ona główkę jej przycisnęła do piersi.

— Moja Marychna miała takie tklive serduszek, jak twoje — rzekła cichym głosem.

— Marychna było jej imię? — rzekła Wańdzia również cichym głosem — nie śmiałam o to zapytać, choć byłam ciekawa. A synek? — dodała prawie do ucha nieznajomej.

— Adaś — szepnęła nieznajoma, a głośno dodała: — Jeżeli nie znużyłam państwa mem opowiadaniem, to radabym dokończyć.

— My nie jesteśmy znużeni słuchaniem, lecz pani mówieniem to rzecz widoczna — rzekł pan Brzeski — dla tego też wnoszę, aby dokończenie nastąpiło jutro.

— Jutro niedziela — rzekł Władek — więc możnaby trochę dłużej pospać, a na poniedziałek to już trudniej.

— I może kto przyjdzie jutro — dodała Wańdzia — a teraz jeszcze niema dziesiątej.

— Niema większych samolubów i egoistów jak dzieci — rzekł pan Brzeski z uśmiechem — czy pani tego nie uważa? Nieznajoma spojrzawszy na dzieci z uśmiechem pobłazania.

— W tym razie mają słuszość — rzekła — a życzenie ich zupełnie zgadza się z mojem.

— Zatem mój wniosek upada — rzekł pan Brzeski zapalając papierosa — a więc, jesteśmy gotowi słuchać dalej.

Pani Brzeska była tak zamyślona, że prawie nie słyszała co przy niej mówiono.

Często wzrok zatrzymywała na nieznajomej, uznając jednak słuszość niemej uwagi męża, aby nie wypytywać o to czego sama opowiadająca nie mówi, milczała, choć nieraz, pytanie zawisło na jej ustach.

Nieznajoma znów mówić zaczęła:

— Chciałam jechać do drugiej matki, lecz zima była nader ostra, drogi ciężkie, a dzieci były niebardzo zdrowe.

Wysłałam więc tylko umyślnego posłańca, w kilka dni wrócił przywołując mi list od niej, pełen smutku, rozpaczny niemal, gdyż ojciec nie żył.

W ciężkim smutku, serce jej wylało się w słowach tklivej dla mnie miłości. pisała serdecznie i długo, ubolewając, że mnie odwiedzić nie może, ale dwadzieścia mil, przy warunkach nie sprzyjających podróży, czyniły najlepsze zamiary niemożliwymi.

Donosiła mi przytem, że interesa majątkowe są w takim stanie, iż jej nie zostało nic, zupełnie nic i musi jechać z dziećmi do siostry, mieszkającej w Tarnowie.

I mnie trzeba było wyjechać, zabrałam klejnoty i różne do mnie należące kosztowności, i jak tylko dzieciom minął kaszel, wyjechałam do Warszawy.

Nie wchodzę w drobniejsze szczegóły, powtarzam, że długa była to historia, dość, że urządziwszy się o ile można najskromniej, zaczęłam szukać pracy, wiedziałam bowiem, że to co posiadam, wyczerpać się musi.

Ale pracy odpowiedniej znaleźć trudno, bo potrzebowałam takiej, abym się nie musiała z domu wydalać, nie mogąc opuścić dwojga drobnych dzieci.

Znałam doskonale język francuski, gdyż jak mówiłam kończyłam pensję w Paryżu, posiadałam dobrze muzykę, ale to nie było zajęcie odpowiednie dla mnie, zamiaru więc, który początkowo powzięłam, musiałam zaniechać. Pozostawały mi tylko roboty ręczne, z tych jeden haft posiadałam, jako wyjątkową umiejętność.

Słabe to było zarobkowanie, ale pracowałam usilnie, nie dosypiając nocy, gdyż w dzień dużo czasu zabierały mi dzieci.

Tak upłynęło lat cztery.

Tu następuje chwila jedna z takich, których pamięć zawsze pełna boleści, kończy się wraz z życiem.

Pocóż opisywać straszne męczarnie jakie przechodziłam, dość powiedzieć, że oboje dzieci straciłam na szkarlatynę, w tydzień jedno po drugim.

Gdy wróciłam z pogrzebu, nie wiem co się ze mną działo, a odzyskawszy przytomność, zobaczyłam się w szpitalu.

Przeszłam ciężkie zapalenie mózgu. Nie wiem, jak to wszystko przeżyć mogłam.

Gdy w kilka tygodni wyszłam ze szpitala, poszłam do mego mieszkania, stało ono zamknięte, gospodarz przekonawszy się, że będące w niem rzeczy mogą opłacić na czas jakiś komorne, zatrzymał je, dowiadując się w szpitalu o moje zdrowie i życie.

Przez dwa dni siedziałam przy łóżeczkach mych dzieci, nie jedząc ani pijąc, trzeciego dnia rano przyszła stróżka i zastała mnie tak słabą, że się ruszyć nie mogłam z miejsca.

Dobra kobieta zajęła się mną, a życie moje odtąd było nic nie znaczącą wegetacją.

Nie umiałam myśleć, nie umiałam się niczem zająć, wiedziałam tylko jedno, że straciłam to co miałam najdroższego, zostałam samą, samą do końca życia.

Pragnęłam tylko jednego, aby mi dano umrzeć przy łóżeczkach mych dzieci.

Ale nie dość jeszcze było dla mnie nieszczęść, które kolejno na mnie spadały.

Nareszcie dnia jednego gospodarz przyszedł po komorne, to mnie przywróciło trochę do przytomności, spostrzegłam, że mnie coś wiąże ze światem, były to obowiązki, wypłacenia tego co komu należy. Zapłacić czem nie miałam, wszystko co posiadałam poszło na kurację dzieci, nawet klejnoty sprzedawałam, co się zresztą działo nic nie wiem.

Musiałam myśleć, co począć, nieprosiłam o siłowność



do jutra, gospodarz poszedł obejrawszy się bacznie po pokoju, co nie uszło mej uwagi.

Być komuś co dłużną i nie mieć czem zapłacić, wydało mi się rzeczą straszną, zdeptana duma tyłu nieszczęściami, zaczęła podnosić głowę, przytłumiła chwilowo moję boleść, gdyż musiałam oderwać myśl, aby wynaleźć środek, na zapłacenie mieszkania.

Jedno, nasuwało drugą konieczność, a tą była wynagrodzenie kobiecie, która się mną opiekowała, jako istotą zupełnie niedołęzną.

Pobudzoną zostałam do życia, a zastanowiwszy się, nie pozostawało mi nic innego na razie, jak sprzedać wszystko co posiadałam.



Krzew gorejący.

Tak też i uczyniłam.

Przy pomocy kobiety owej, posprzedawałam prawie wszystko, a raczej ona sprzedawała, nie miałam jeszcze rozwagi, aby ocenić prawdziwą wartość posiadanych przedmiotów.

Na jedno tylko zdobyć się nie mogłam, to jest na sprzedanie łóżeczek po dzieciach.

Opanowywało mię dziwne uczucie przerażenia i rozpacz, na samą myśl, że inne dziecko leżeć w niem będzie, inne a może.

A może temu małeństwu udzieliłaby się choroba, która zabrała moich dwoje, może druga matka takby pozostała bez dziecku jak ja, taka sama, taka osierocona!

Łóżeczka kazałam porąbać i spaliłam je sama. Wtedy nie mi nie pozostało, prócz łóżka z pościelą i kilkunastu rubli.

A jednak żyć trzeba było, a na to życie pracować. Dobra moja kobieta, wystarała mi się o współlokatorkę, z którą wzięliśmy małeńki pokój na trzecim piętrze.

I tamta była samotną i nieszczęśliwą widocznie, lubiła milczeć całemi dniami przy pracy, której się oddawała z jakąś gorączkową pilnością. Miała jednak siłę i energię, bo zajmowała się sobą i mną, jakbym była jej siostrą lub przyjaciółką.

Nie miała jeszcze lat trzydziestu, mimo, że na skroniach jej srebrzyły się już włosy.

Musiała być bardzo ładną w pierwszych dniach młodości, bo zostały tego wyraźne jeszcze ślady. Było nam dobrze z sobą, ona szyła, ja haftowałam, o robotę starała się także ona i dla mnie i dla siebie.

Mówiliśmy z sobą to tylko, co było koniecznem, ze wszystkim zgadzałyśmy się z sobą.

Przemieszkaliśmy tak lat sześć.

Dnia jednego towarzyska moja wróciwszy z miasta, miała na twarzy taki wyraz radości i szczęścia, taki uśmiech wesela, że spoglądałam na nią w niemiernym zdziwieniu.

Ona stanęła przedemną i rzekła krótko:

— Wrócił!

— Ach! — pomyślałam — do niej miał kto wrócić, moi nie wrócą, nigdy! nigdy!

— Wrócił — powtórzyła, nie czekając mego zapytania — wróci — a — dodała, uderzając się w czoło — pani nie wiesz, byłam narzeczoną od lat dziesięciu, on wyjechał, ale teraz wrócił, spotkał mnie na ulicy, gdy szedł do biura adresowego, przyjechał wczoraj, ślub nasz wkrótce.

— Daj ci Boże szczęście — wyrzekłam ze szczerą życzliwością, ale zarazem myśl egoistyczna powstała we mnie, nie wypowiedziałam jej jednak głośno, w duszy mej tylko dźwiękiem smutku zawołał głos jakiś:

— A z tobą co się stanie?

W parę tygodni rozstałyśmy się, towarzyska moja żegnała mnie ze łzami, szczęście otworzyło jej serce na zewnątrz, żal jej było rzucać mię tak samotną i zapłakała łzami szczerzego współczucia.

Ja też już nie miałam, czy też natura moja nie pozwoliła mi okazać mych cierpień.

Zostałam samą, nie na długo wprawdzie, bo towarzyska moja obiecała mi dać kogo na swoje miejsce i dotrzymała słowa.

Przez czas jednak kilkodniowy mej samotności, oceniłam dopiero należycie, czem była dla mnie ta cicha, dobra moja opiekunka. Ha, bo tak ją nazwać muszę.

Sądziłam, że nigdy już nikogo ani niczego żałować będę mogła na świecie, a jednak za tą kobietą, biegła nieraz myśl moja. Brakowało mi jej bardzo, nie wiedziałam jak sobie dać radę, przez lat kilka zupełnej bezczynności, prócz mej pracy przy której siedziałam całemi dniami i wieczorami, nie zajmowałam się niczem.

Ona, której tylko imię wiedziałam, była dla mnie wszystkim, wyrzucałam sobie, że tak mało umiałam to cenić gdy byliśmy razem, nigdy nie okazałam jej mej wdzięczności.

Gdy się ze mną żegnała ostatecznie, obiecała, że do mnie pisywać będzie, podziękowałam jej za to i nie przyjęłam, musiałabym jej odpisywać, to byłoby stosunkiem obowiazującym, ja żadnych mieć nie chciałam.

Spostrzegłam, że ją to niemile dotknęło, czuła się może obrażoną i słusznie, ale, co ja miałam pisać do niej i o czem?

Lepiej, że się to skończy odrazu, myślałam, co mi po jej litości i pamięci?

W kilka dni sprowadziła się do mego małego pokoiku nowa współlokatorka.

I ta była kobietą cichą, ale w krótkim czasie postanowiła przenieść się tu, do tego miasta, do czego i mnie skłoniła.

Cóż mogłam innego zrobić, siły moje tak były złamane, tak wyczerpane, że nie mogłam istnieć sama, tak mi się przynajmniej zdawało.

Mieszkaliśmy tu razem dwa lata, potem moja towarzyska znalazła dom i opiekę, zabrał ją brat, który dostawszy probostwo mógł ją mieć przy sobie.

I znów zostałam samą.

Teraz musiałam myśleć o sobie już bez żadnej życiowej rady.

Z początku było mi to bardzo przykrem, że potrzebo- wałam się odrywać od pracy, ale powoli do wszystkiego czło- wiek przywyknąć może.



Nareszcie zachorowałam, ale żelazna moja natura postawiła mię znów na nogi, musiałam jednak sprzedać prawie ostatnią suknię, bo dodać jeszcze muszę, że mię okradziono.

Przekupka, która teraz sprzedawała moje roboty, była mi dostarczycielką żywności, gdyż innych ludzi wstyd mi było.

Ona to wyszukała mi ten pokoik, gdy coraz gorzej było z memi interesami, ona kupiła mi za parę złotych odzież, w której znaleźliście mnie, gdy po okradzeniu, nie mi nie pozostało, a ten szlafrok taniej podobno miał kosztować aniżeli jaka suknia.

Póki mogłam pracować, przychodziła przynosząc mi bułki i jabłka jako jedyny posiłek, ale gdy nastały mrozy ręce mi zięły tak, że igły utrzymać nie mogłam, zabrakło mię roboty, a tym sposobem zabrakło i pieniędzy.

— Ach! — zawołała Wańdzia — ja tę przekupkę widywałam, ale ona nie chciała powiedzieć poco chodziła na górę, mówiła tylko, że myślała, iż tam kto mieszka.

— Ale jakim sposobem Bieduś zapoznał się z panią? — zapytał Władek.

(d. c. n.)

## Kwiat paproci.

Słońko żarem z niebios ciska,  
A z wieczora, co tak krótki;  
Już jaskrawy blask Sobótki,  
Na pagórkach zdala błyska.

Płyną wianki, rosną gwary,  
Bo z przeszłości gdzieś pogańskiej  
Lud do nocy Świętojańskiej,  
Do dziś, łączy dziwy, czary.

I nadzieją gadkę złoci,  
Że za naszych jeszcze czasów,  
Kwitnie w noc tę w cieniach lasów,  
Tajemniczy kwiat paproci.

A kto walcząc z siły złemi,  
Znajdzie męstwo ku obronie;  
Wraz z tym kwiatem chwyci w dłonie,  
Wszystkie tajne skarby ziemi.

Kwiat paproci! to ułuda.  
Jednak każde ziemi dzecię,  
Skoro zechce, może przecie,  
Znaleźć skarbów różnych cuda.

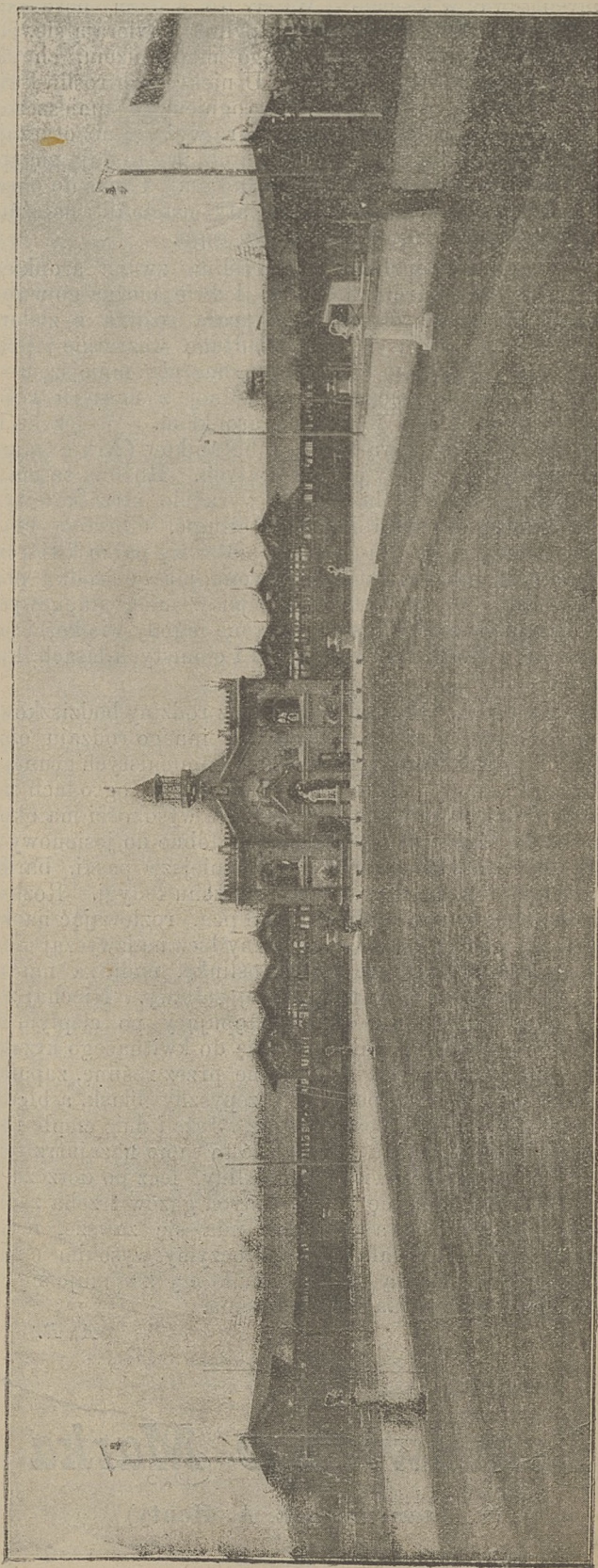
Bo kto jako rycerz Boży,  
Zyska za swój walk ciąg mężny,  
Klucz mądrości wszechpotężny,  
Skarbiec ziemi nim otworzy.

Wiedza drogę mu oświeci,  
Przez mgły górne, wód otchłanie,  
Perły znajdzie w oceanie,  
Orłem skrzydłem do gwiazd wzleci.

W zacnych trudach w czoła pocie,  
Gdy wiek późny siły strawi,  
Dla ludzkości pozostawi,  
Uzbieranych skarbów krocie.

Kwiat paproci! to ułuda,  
Lecz w nim mieści się nauka,  
Że kto wiedzy skarbów szuka,  
Moc w nim Boża sprawia cuda.

E. L.



Pawilon główny na wystawie higienicznej w Warszawie.



## KRZEW GOREJĄCY.

W chwili dojrzewania pyłków całe życie rośliny zdaje się koncentrować w kwiecie. Wtedy to widzimy poruszające się za łada dotknięciem pręciki, pylniki otwierają się, jakby przy pomocy jakiegoś cudownego mechanizmu, chmury pyłku pokrywają blizny słupków. U niektórych roślin kwiat w tej porze zdaje się płonąć jakby ogniem, a umieszczony w nim termometr wskazuje temperaturę wyższą, niż otaczającą i trwa to przez dni kilka; najlepiej objawy te dają się spostrzec między godziną 3 a 6 po południu. U nas do obserwacji tych najwięcej nadają się kwiaty magnolii i należącej do rodziny grzybieniowatych wiktoryi regii.

Na wyspie Bourbon żyje roślina zwana aronkiem, której kwiat tak się rozgrzewa, że ledwie można go w rękę utrzymać, ale też w krótkim czasie cała roślina z zielonej staje się ciemną, jakby spaloną; niedługo wszystkie jej części umierają. Zjawisko to, tylko w znacznie mniejszym natężeniu, obserwować możemy na jednej z naszych roślin blisko spokrewnionej z wyspowym aronkiem. W języku ludowym zowie się aronową brodą, u botaników (*Arum maculatum*), należy do rodziny obrazkowatych. Roślina ta ma liście długoogonkowe o blaszkach wyraźnie strzałkowatych dość wielkich. Szypułki kwiatowe długie, otoczone blade zieloną pochwą, w środku której mieści się palka kwiatowa górą fioletowa lub bruno-czerwona, ma we środku pierścień kwiatów pręcikowych pod temi wieniec słupkowych, z tych ostatnich rozwijają się czerwone jagody wielkości polnego grochu. Rośnie po wilgotnych i cienistych lasach, kwitnie w maju.

Dyptan biały (*Dictamnus albus*) z rodziny bodziszkowatych przedstawia w chwili dojrzałości innego rodzaju objawy. Ładna ta roślina żyjąca dziko na kamienistych gruntach Europy południowej, hodowana niekiedy w ogrodach naszych dla pięknego zapachu, jest trwała, wysokości ma około 2 stóp, liście nieparzysto pierzaste podobne do jesionowych. Kwiaty białe lub purpurowe w ciemniejsze paski, bardzo okazałe stoją ułożone w grona na wierzchu łodygi. Rozkwitają w czerwcu i trwają do końca lipca, rozlewając naokół aromatyczny zapach bardzo przyjemny lecz nadzwyczaj silny. Kto posiada a w ogrodzie te miłą roślinkę, nadarza mu się w tej porze sposobność do przyjemnej zabawy. Niechaj zejdzie do ogrodu w ciepły wieczór następujący po ciepłym suchym dniu i przytknie zapaloną świecę do kwitnącego krzaku. Wtedy gazy aromatyczne wydzielone przez roślinę, zapalają się, wierzchołek rośliny pokryje przepyszny blask, a błędny ten ogień obleje wkrótce całą roślinę. Jeżeli dnie ciepłe i suche trwają dłużej, można powtarzać to samo nazajutrz i dni następnych aż do przekwitnięcia rośliny, lecz po deszczu na przyjemność zapalania się wydzielonych gazów trzeba zaczekać dni kilka. Zabawa ta jednak uda się zawsze, nawet w dni wilgotne, jeżeli całą roślinę otoczmy wysokim szklanym kloszem z pokrywą na wierzchu, którą zdejmujemy się dopiero w chwili wykonania doświadczenia.

A. R.

## Lew świętego Marka

(z ANGIELSKIEGO E. A. Henty)

przekład K. P.

(Ciąg dalszy).

Franciszek brał czynny udział w przywróceniu komendy Pisaniemu. Razem z Matteo chodzili po ulicach i gdzie tylko spostrzegli gromadę ludzi, zatrzymywali się i dowodzili,

że tylko powrót zwycięzkiego wodza może ocalić Wenecję. Taddeo Giustiniani był stryjem Mattea, a jednak młody ochotnik nie przestawał podbudzać ludu przeciwko niemu. „Gdyby to było w zwykłych okolicznościach, tobym bezwątpienia szedł za moją rodziną. Ale teraz idzie o losy Wenecyi, na co przyda się jedność rodzinna, jeżeli Genuieńczy zburzą Wenecję, a nas wszystkich rozproszą po całym świecie?

Po uwolnieniu admirała, Polani spotkał się z obu przyjaciółmi i poszedł z nimi do Pisaniego.

— Witajcie — rzekł admirał serdecznie. — Widzisz Messer Hammond prawdziwy ze mnie prorok, wyprorokowałem sobie więzienie. Ale nie mówmy o tem co minęło. Tyś mam zajęcia, że zaledwie podołam.

— Ja przyszedłem tylko, aby ofiarować ku obronie miasta wszystkie moje okręty, które stoją w porcie. Sam będę opłacał załogi, a wy użyjecie ich jak się wam podoba, w razie potrzeby możecie je nawet spalić — oświadczył Polani.

— Dziękuję wam — rzekł admirał — znajdziemy nieraz sposobność aby ich użyć. A o was Messer Hammond słyshałem nawet w więzieniu. Uprawdając Genuieńczyków cztery okręty, zmniejszyłeś straty, na jakie przegrana pod Pola naraziła rzeczpospolitą. Mam nadzieję, że niebawem wszystko powetuję. Za parę dni, jak się rozejrzę, znajdę miejsce dla ciebie. Teraz nie znaczą ani wiek, ani urodzenie, najdzielniejszym ludziom chcę powierzyć najtrudniejsze pozycje i ufam, że się nie usuniesz; tego krzykacza Cornaro mianowałem wice admirałem Lida. W mieście byłby nieustannie wszczynał burdy, ale tam doskonale wypełni swoje obowiązki.

— Wolałbym być waszym adjutantem, admirałe, niż dowództwo — rzekł Franciszek. — Za młody jestem i byłbym wciąż otoczony przez niechętnych i zazdrosnych.

— I owszem, mój chłopcze. Przyjdź jutro to ci wskażę twoje obowiązki. Wdzięczny jestem ludowi, za okazane mi zaufanie, ale sądzę, że i Giustiniani jest zdolnym wodzem.

Franciszek wstrząsnął głową.

— O nie! admirałe, Giustiniani to dzielny żołnierz, ale dowodzić nie potrafi, wczoraj zbudował przy kanale Lido dwie drewniane wieże, które jeden kamień rzucony z genueńskiej ballisty, zburzy ze szczerem.

Pisani nie odrzekł i wziął się do przeglądania planów, lecz nazajutrz rano poszedł obejrzeć fortyfikacje. Obie wieże uznał za całkiem nieprzydatne, i na ich miejscu kazał wzniesć kamienne baszty; Giustiniani oburzył się na to i tak zbuntował robotników, że żaden nie chciał przyjść do roboty. Kiedy przyjaciele donieśli o tem Pisaniemu, admirał sam udał się na wyspę, a nie tracąc czasu, schwycił kamień i wmurował w ziemię, wołając.

— Kto kocha św. Marka, niech idzie za moim przykładem.

Robotników zdjął wstyd, a lud widząc admirała przy pracy, tak się zapalił, że młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety nosili wodę, kamienie, aby tylko pójść za przykładem ulubionego wodza. W cztery dni ukończono robotę, która w zwykłym czasie zajęłaby parę tygodni. Następnie zdolni majstrowie wznosili mur od Lido do San Spirito, aby tem skuteczniej odeprzeć wroga.

Przez ten czas Pisani utworzył flotę, i niepomny na niechęć Giustinianiego, oddał mu komendę nad trzema największymi okrętami. Lekkie statki były pod wodzą Barberiga, Barnaro z kilku galerami bronił San Spirito, a na wybrzeżu między Lido i Malamocco stali najemnicy, do kanałów zaś przez które miały przepływać nieprzyjacielskie okręty powrzucono całe pnie drzew.

Nareszcie, po ośmiu dniach bezczynnie spędzonych, ruszył nieprzyjaciół 24 sierpnia do ataku. Oddział genueński pod bratem Dorii wylądował na San Nicolo, podczas gdy Padwianie napadli na San Spirito i Santa Maria.

Ale obrońcy byli przygotowani do tej wycieczki i skutecznie ją odparli. Wtedy nieprzyjaciół chciał się połączyć, lecz Cronaro zajął kanał i przeciął im drogę.



Doria nie mógł pohamować gniewu, ponieważ sądził, że atak, uczyniony w nocy musi się udać.

Książę Padwy tak się zniechęcił, że cofnął się ze swoimi wojskami na stały ląd. Doria stał naprzeciw Wenecyi do początku października, lecz widząc, że szaniec coraz to się niszczy, wrócił do Chioggii i postanowił wziąć miasto głodem.

Istotnie zaczęło braknąć tam żywności. Zdarzało się czasem, że statek wiozący zboże z Egiptu lub Sycylii przemykał między galerami genueńskimi, to znów żołnierze przejmowali żywność dowożoną wojsku genueńskiemu, ale wszystkiego było kroplą w morzu. Ołbrzymie miasto coraz to więcej uczuwało brak żywności. Cena chleba stawała się tak wielką, że nie tylko biedacy, ale nawet ludzie zamożni przypierali z głodu. Szlachta i możni robili co mogli dla wygnania ich współbraci, wykonywali do ostatka słowa, które w imieniu doży wyrzekł Pietro Mocenigo:

„Kto głodny niech się uda do mieszkania patrycjuszów i niech się z nim ostatnim kawałkiem chleba podzieli”.

Niektórzy dochodzili do takiej rozpacz, że zbierali się w niesforne kupy i błagali rząd, aby im wolno było opuścić Wenecję i osiedlić się w Kandyi albo w Negropencie, ale widząc innych obywateli, którzy woleli raczej umrzeć, niż miasto zostawić na pastwę wroga, opamiętywali się i znosili cierpienie bez szemrania.

Tak minął październik i listopad. Carlo Zeno nie wracał, lecz dowiedziano się z listu, że odnosi wielkie zwycięstwa, że oczyścił morze z nieprzyjaciół od Genui do Konstantynopola, że schwytał galere genueńską, wiozącą trzykroć sto tysięcy dukatów i że jest obecnie na Kandyi.

Ta wiadomość dodała otuchy oblężonym i 16-go listopada wysłano Moroceni z rozkazem, aby wracał na odsiecz miastu. Prawie w tym samym czasie Barberigo ujął trzy statki nieprzyjacielskie, chociaż nieznaczne tylko odnosi zwycięstwa, dodawały otuchy Wenecyanom, którzy oddawna poprzestawali tylko na obronę.

Pisani robił częste wycieczki, aby poznać nieprzyjacielską pozycję, lecz za każdym razem zmuszony był cofać się ze stratą; mimo niepowodzeń, admirał utrzymywał, że należy zrobić wszystko, aby odebrać Chioggię, zginąć z mieczem w ręku, niż umrzeć z głodu.

Od jeńców dowiedział się, że Doria ma przeszło trzydzieści tysięcy ludzi, pięćdziesiąt dużych okrętów i do ośmiuset łodzi. Armia jego dobrze żywiona, dobrze odziana, stanowiła przeważającą siłę dla wygnanych Wenecyan. Liczono przecie, że Zeno nadsięgnie lada chwila; rozpoczął oblężenie.

Ażby lud pobudzić do większej gorliwości, senat uchwalił, że nieszczanie dobrowolnie zaciągający się w szeregi, zostaną uszlachceni, miasto będzie wypłacało im i ich dzieciom pensje roczne; każdy cudzoziemiec otrzyma obywatelstwo, kto zaś usunie się od spełniania obowiązków, zostanie pozbawiony praw i przywilejów.

Znalazło się sporo ochotników, inni dawali pieniądze za siebie, synów lub krewnych, niektórzy ofiarowywali galery i statki. Dwudziestego grudnia stały w porcie okręty gotowe do bitwy. Doża choć przygnieciony wiekiem oznajmiał, że sam obejmuje dowództwo, a Pisani będzie jego zastępcą i czynnym admirałem.

Przez czas oblężenia Franciszek rzadko widywał rodzinę Polanich. Będąc ciągle na usługach Pisaniego, mieszkał w jego domu i wraz z admirałem jadł na śniadanie, obiad i wieczórę kawał suchego chleba i trochę owoców. Marya wróciła do domu ojca, ponieważ mąż jej ciągle zajęty obawiał się nagłego napadu ze strony nieprzyjaciół.

Młoda kobieta była weselszą niż zwykle. Żartowała o niebezpieczeństwa, Franciszkowi okazywała nadzwyczajny szacunek, jako zaufanemu admirałowi. Julia naśladowała siostrę i kłoby zobaczył ich rozpromienione twarze, nigdyby się nie domyślił, że Wenecję oblega nieprzyjaciół i głód panuje

w mieście. Większa część okrętów Polaniego poszła do rządowej floty, pozostałe odbywały nieustanne podróże, aby dostarczyć żywność zgłodniałemu miastu.

Gondola Franciszka, naprawiona po rozbiciu w ciągłym była ruchu, Giuseppe powrócił na swe stanowisko wiosłarza, kilka razy dziennie woził swego pana z rozkazami admirała. Franciszek wypływał często na rekonesans, a mając łódź szybszą od nieprzyjacielskich, mało sobie ważył wszelkie niebezpieczeństwo.

Pewnego wieczoru rzekł do niego Pisani.

— Chciałbym, abyś się dowiedział, czy nieprzyjaciół nie zmienił pozycję i czy ma silne oddziały na kanałach. Wiesz, jaki ułożyłem plan bitwy, ale z ochotnikami jakich mam, trzeba zważać na najdrobniejsze okoliczności; weterani umieją się zachować nawet po przegranej, a tu połowiczne zwycięstwo byłoby już klęską. Muszą znosić chłód i głód, potrzeba aby, wygrana dodała im ducha. Dotrzej jak będziesz mógł najdalej, ale nie narażaj się, bo nie chcę, aby cię co złego spotkało.

Franciszek poszedł natychmiast gotować się do wycieczki i siadając do łodzi, rzekł do Giuseppea:

— Wynajdź mi przed wieczorem marynarza, który mieszkał w Chioggii i zna każdy jej zakątek. Musi być sprytny i odważny, bo znajdziemy się może w ciężkich opałach.

— Znam takiego człowieka i byłem go zastał w domu, to go panu przyprowadzę.

— Zatem spiesz się, chłopcze, bo chciałbym go o różne rzeczy wypytać.

— Czy to prawda, że flota jutro wypłynie? — zapytała Marya wchodzącego Franciszka.

— Tak jest, rozkazy już wydane i jutro ruszamy.

— Kiedyż wrócicie?

— Może za tydzień, może za trzy miesiące — odparł śmiejąc się Franciszek.

— Ja myślałam, że będziecie się bili z Genuńczykami. Na to nie trzeba tygodnia, jednego dnia pojedziecie, drugiego pobijecie nieprzyjaciela, a na trzeci możecie wrócić.

— My się teraz bić nie będziemy, poco mamy się narażać na przegraną! nieprzyjaciół jest o wiele silniejszy, a choć admirał unika walki, jestem pewny, że w końcu zwyciężymy.

— Daj Boże — rzekł Polani — a ty mój chłopcze dokąd się dzisiaj wybierasz?

— Mam obejrzeć pozycję nieprzyjaciela i zdać raport admirałowi.

— Nie mogę ci tego zabronić, ale moje dziecko niema dnia, żebyś się nie narażał; pamiętaj bądź ostrożnym, jeżeli nie dla siebie to dla nas, którzy cię szczerze kochamy. Teraz chodź ze mną do mego pokoju; dam ci mapę przesmyków około Chioggii, to ci ułatwi dzisiejszą wyprawę.

W pół godziny później nadszedł Giuseppe, przyprowadził gondoliera i dwóch rybaków. Od nich dowiedział się Franciszek mnóstwo szczegółów, ważniejsze posterunki nieprzyjaciela były mu dawniej znane, miał więc nadzieję, że zadowolni admirała.

Genuńczycy rozstawiali mało straży. Doria był pewny zwycięstwa i nie wątpił, że kapitulacja Wenecyi jest tylko kwestią czasu, ufny w powagę swojej armii, lekceważył nieprzyjaciela. Wojska rozłożyły się w Chioggii, galery stały na kotwicach wzdłuż brzegu; jedynie na kanałach łączących morze z lagunami pozostawiono łodzie aby w razie napadu lekkiej floty Barberiga dały znać do obozu.

Gdy Franciszek dowiedział się o tem rzekł do Giuseppea:

— Nie przemknijmy się przez kanały, których bronią rozstawione łodzie, ale możemy wylądować na Palestrinie, przenieść gondolę na drugą stronę wyspy do kanału Malamocco. Gdy się raz dostaniemy poza kordon ich straży, możemy śmiało płynąć choćby do samej Chioggii, a wracając gdyby nas spostrzegli wrócimy do Palestriny.



## XIX.

## Obłężenie Chioggii.

Późnym wieczorem wylądował Franciszek na Palestynie. Ruffino Giustiniani, który dowodził oddziałem wojska na wyspie dał mu dwunastu ludzi do przeniesienia gondoli na przeciwny brzeg, a jego zabrał do namiotu i wypytywał o wiadomości z Wenecyi.

— Słyszeliśmy od ludzi, którzy nam przywieźli żywność, że doża gotuje się do wyprawy, ale nie chcieliśmy wierzyć. Tyle razy nas zwodzono. Ale co admirał zamierza uczynić? Przecież nie odważy się atakować nieprzyjaciela z niedoświadczonem wojskiem i naprędce sklecić flotą.

— Zamiary admirała są tajemnicą, o której wie załedwie doża i Rada.

— I ty — rzekł Ruffino śmiejąc się.

— Ciągłe przenoszę jego rozkazy, więc się domyśliłem, ale nawet tobie nie mogę nic powiedzieć.

— Masz rację, Franciszku i nie będę cię męczył dłużej pytaniami, ale oto wraca Matteo, który na noc rozstawiał strażę.

Przyjaciele od czasu obłężenia widywali się tylko, gdy Franciszek przywoził nowe rozporządzenia.

— Widziałem jak przenosili twoją łódź na drugą stronę wyspy. Cóż ty zamierzasz robić między Genueńczykami?

— Mam się rozpatrzeć w ich pozycyi.

— Mój Boże, takbym chciał być na twojem miejscu, szczęśliwy z ciebie człowiek, cały dzień spędzasz w wygodnym pałacu admirała albo pływasz w wygodnej łodzi. Ja już ani rąk ani nóg nie czuję.

— Wszystko mi się podoba w mojej służbie, lecz odwrotną stroną medalu jest pisanie listów i raportów.

— I jabył pisać nie lubił; gdyby to przynajmniej Genueńczykom przyszła ochota napaść na nasze posterunki, tobyśmy się rozgrzali, ale oni cicho siedzą i wtedy tylko się ruszają, gdy idziemy na jaki rekonesans. W jaki sposób poznasz pozycję nieprzyjaciela, czy masz jaki plan?

— Żadnego. Zobaczą tylko czy ich galery stoją na zwykłym miejscu i czy nie przeczuwają napadu z naszej strony.

— Nie widziałem żadnego ruchu — rzekł Ruffino — maszty ich okrętów, które widać z brzegu stoją jak i dawniej stały, tylko od czasu jak im Barberigo porwał dwie galery, porobili tamy na kanałach, aby przeszkodzić niespodzianym napadom. Przez cały dzień uwijały się łodzie, zdaje mi się, że budowano nową tamę. W nocy bardzo surowo nakazano straż, aby nie wpuszczała nikogo do wewnętrznych kanałów i to jedynie niebezpieczeństwo, na jakie będziesz narażony. Tu, na wybrzeżu nie ufają nikomu, ale jak się dostaniesz dalej, to możesz płynąć spokojnie; wezmą was za rybaków wracających z połowu. Otóż podają nam kolację. Niezawsze mógłbym cię tak przyjąć, jeden z moich żołnierzy złowił kilka ryb, mam także parę butelek wybornego wina, musisz się posilić przed odjazdem.

(d. c. n.)



## CIEŃ ELEKTRYCZNE.

Jeżeli położymy na stole dwie książki równej grubości, w niezbyt wielkiem oddaleniu, a na ich krawędziach, jak nam rycina wskazuje, oprzemy czystą szybę szklaną, pod którą rozsypaliśmy poprzednio opiłki zwyczajnego korka od butelki i jeżeli kilka razy, lecz mocno trzeć będziemy jedwabnym lub welniem galgankiem szybkę, wtenczas zobaczymy, że owe opiłki korkowe, unosząc się będą ze stołu i przyczepiać do szybki tak długo, póki tarcie szkła trwać będzie, skoro to ustanie, opiłki opadną spokojnie na stół. Doświadczenie takie polegające na wywołaniu w szkłe elektryczności przez tarcie, zużytkować możemy do zajmującej sztuczki magicznej, jeżeli poprzednio, w tajemnicy przed widzami, narysowaliśmy pendzelkiem maczanym w glicerynie, jakiekolwiek figury ludzi, zwierząt lub kwiatów. Rysunek taki dla oka niedostrzegalny, obrócić należy ku opiłkom korkowym, a górną, suchą stronę szkła potrząść, jak wyżej, wełną lub jedwabiem. Skoro cała powierzchnia szybki okryje się pyłkiem korkowym, przestańmy trzeć i uniośszy ją, dmuchnijmy na opiłki, aby usunąć te, które są zbyt ciężkie i pokażmy widzom, niby cudem wywołany rysunek, który możemy zwiększyć i uwydatnić jeszcze jako rzucony cień na białą ścianę, jeżeli przed szybą postawimy lampę lub świecę.

Oczywiście rysunek stał się widocznym przez trwalsze przyczepianie się opiłków korkowych do miejsc pociągniętych gliceryną.

## PRENUMERATA WYNOŚI:

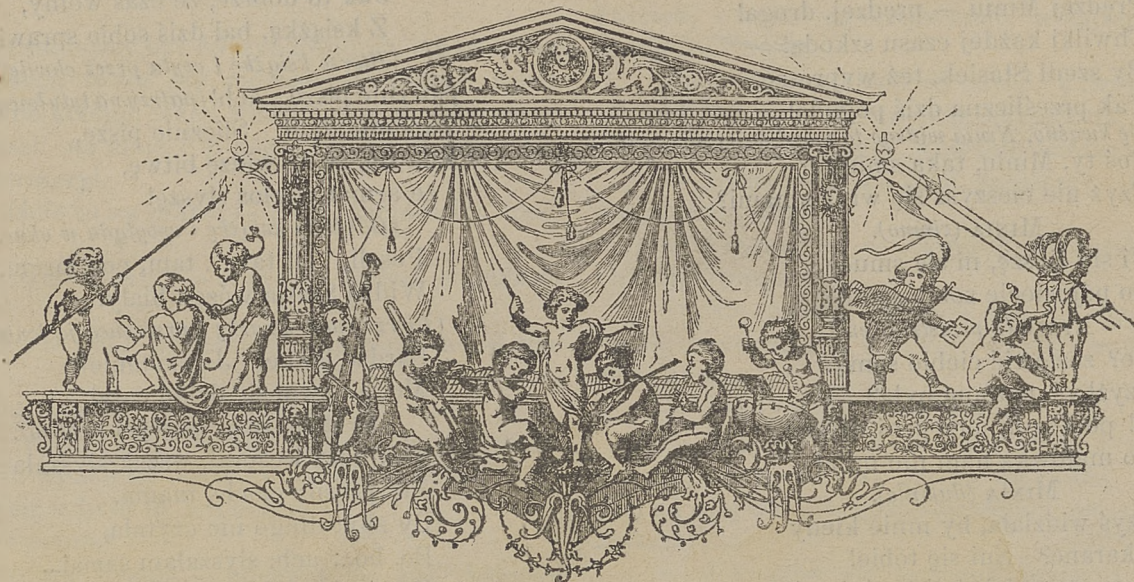
W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Porada lekarska, wiersz (z drzew.) — Wystawa higieniczna (z drzew.) — Nieznajoma z poddasza, powieść przez Bronisławę Porawską. — Kwiat paproci, wiersz p. E. L. — Krzew gorejący (z drzew.) — Lew świętego Marka (przekład K. P. z angielskiego G. A. Henty). — Cienie elektryczne. — Dodatek: Mam skończonych dziesięć latek, komedyjka w II aktach przez Mar. — Mali Robinsonowie w skalach nadmorskich, przełożyła M. B. — Łamigłówni, rozwiązanie. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Orla skała, powieść miss K. Yonge przekład T. O.



# WIECZORY RODZINNE



## MAM SKOŃCZONYCH DZIESIEĆ LATEK

KOMEDYJKA W II-ch AKTACH.

### OSOBY:

MAMA.  
BONA.  
MINIA lat 10.  
NINIA lat 7.  
STAŚ lat 5.

Rzecz dzieje się na wsi.

*(Scena przedstawia pokój dziecienny, stół, na nim książki i zeszyty, parę krzeseł i fotel. Jedne drzwi prowadzą do ogrodu, drugie do salonu).*

### AKT I.

#### SCENA I.

MINIA (sama).

*(Chodzi po pokoju z rękami w kieszonkach od fartuszka).*

Ach! to czyste utrapienie,  
Gdy są dzieci w domu małe,  
Chce się temu tylko bawić,  
Z lalką dzionki igrać całe!

Mam skończonych dziesięć latek;  
Dzieckiem już nie jestem — ręczę!  
Strach, jak z dziećmi się tu nudzę,  
I z tą Ninią — jak się dręcę!

Lat minęło... ze trzy pewnie!  
Jak do nauk się zabrałam —  
Nie traciłam chwil daremnie!  
Dużo, dużo już zyskałam!  
*(Bierze ze stołu zeszyt i pokazuje).*

Ot — spojrzycie na zadania —  
Toć pochwalić warto, myślę!  
A rachuję, bardzo dobrze,  
A historię znam już ściśle!

A jak czytam! O! Jak Ninia  
Ja nie jąkam się, nie mięszam,  
Na przecinki, punkta zważam,  
Czytam wolno, nie przyspieszam.

Ot, przeczytam wam, gdy chcecie,  
Ustępnę mały. Sądźcie sami!  
*(Bierze ze stołu książkę, otwiera i czyta).*  
„Skromność zdobi każde dziecko,  
Więc się nie chwal zasługami”...

*(Zmieszana rzuca książkę).*

Ech! dość tego.. mówię tylko...

*(Z gniewem, tupiąc nogą).*  
Ze mam dość już tej męczarni  
Sama chcę się uczyć, bawić,  
Nie należeć do dzieciarni!

*(Bierze książkę ze stołu i zaczyna ją przeglądać. Wbiega Ninia za nią bona).*

#### SCENA II.

MINIA, NINIA I BONA.

NINIA

Miniń! Miniń! szcześnie jakie!  
Matus droga pozwoliła



Aż do boru iść na spacer!  
Toż majówka będzie miła!  
(Brońcia weźmie podwieczorek.  
Taki cudny, jasny dzionek...  
Będziem biegać — zbierać kwiaty,  
Aż na szóstą zabrzmi dzwonek...

(Widząc, że Minia się nie rusza, przybiega i lekko ciągnie ją za suknię).

Prędzej Miniu — prędzej, droga!  
Chwilki każdej czasu szkoda!  
By szedł Stasię, też wyproszę,  
Tak prześliczna dziś pogoda!  
(Minia krzywi się kwaśno, Ninia widząc to mówi dalej nieśmiało).  
Coś ty, Miniu, taka smutna?  
Czyż nie cieszysz się wraz z nami?

MINIA (zimno).

Ni się cieszę, ni się smucę,  
Bo pójdziecie sobie sami!

NINIA (z przestrachem).

Co? zostawić ciebie samą?  
Czyżbyś ukaraną była?...  
O! pobiegnij, przeproś mamę!  
Bo majówka nam nie miła!

MINIA (dumnie).

Czyś widziała, by mnie kiedy  
Ukarano? Śni się tobie!  
Lecz, że z dziećmi ja się nudzę,  
Więc zostanę, Idźcie sobie!

NINIA.

Jakto? jakto? na majówkę  
Nie masz chęci iść? do lasu?  
Ze mną, Brońcią, i ze Staszkiem,  
Et! chodź prędzej! szkoda czasu!  
(Ciągnie ją za rękę. Minia usuwa się gniewnie).

MINIA.

Odczep-że się! uprzykrzona!  
Wytłomaczyć ci rzecz trudna,  
Lecz zrozumiesz, gdy wyrośniesz  
Jakaś była dzisiaj nudna!

BONA.

A ja jednak, bardzo lubię  
Grzeczne dzieci, i znajduję,  
Że są miłsze, niż osóbbi  
Które starszych już udają!  
Chodźmy Niniu! nie proś dłużej!  
Staś poigra, poswawoli,  
Potem kwiatów nazbieramy,  
Nabiegamy się dowoli...  
(Wychodzi, wprowadzając oglądającą się smutnie Ninia).

### SCENA III.

MINIA (sama).

Ach! nareszcie! więc raz przecie,  
To co myślę, powiedziałam,  
Od tej pory, pozna każdy,  
Że być dzieckiem już przestałam!  
(Pogardliwie).  
Z niemi!! biegać, hałasować,  
No, i rwać te zioła w lesie,  
Lub Stasiowi być za konia,  
To rozrywką u nich zwie się!  
(Staje u okna).

Poszli... las. No... ładnie w lesie!  
Starsi lubią też spacer...  
...Zatrzymali się!... czy wróć?...  
Nie... (patrzy na zegar) do szóstej godzin cztery-  
(Ogląda się wkoło).

Dziś niedziela, niema pracy.  
Nudno!! Nie! nie — ja się bawię!  
Jak to dobrze, że czas wolny,  
Z książką, bal dziś sobie sprawię!  
(Bierze książkę i czyta przez chwilę).

Ślicznie pisze... ach! (patrzy na tytułową kartę) autora.  
Zapomniałam. Ślicznie pisze,  
Zda się, że aż widzę bitwę,  
I że armat odgłos słyszę!

(Odkłada książkę i spogląda w okno).

Poszli. Ot tam .. tam, pod lasem,  
Widzę Stasia wózek biały.  
(Bierze znów książkę i przerzuca ją leniwie).

Bardzo ładne. Ja czytaniem  
Mogę bawić się dzień cały!

(Po chwili znów spogląda w okno).

Tak, lecz wczoraj, wszak słyszałam,  
Jak prosiła ciocię, mama,  
By zbyt długo nie czytała,  
Bo, bo... ach, słyszałam sama!...  
Bo to nie... nie (jaka się) hy-gie-nicznie!  
A to znaczy, że koniecznie,  
By być zdrowym, trzeba ruchu;  
Ciocia ma migrenę wiecznie!

I ja mogę mieć migrenę;  
(bierze się za ucho).

O! doprawdy! w lewym uchu,  
Coś kolnęło! To migrena!

Nie, koniecznie trzeba ruchu!  
(Chwyta ze stołu piłkę, rzuca ją i skacze, ale nagle zatrzymuje się poważnie, i piłkę odrzuca).

Nie! Od dzisiaj, precz z zabawą.  
Jam nie dziecko! Cioci Zosi,  
Gdy potrzeba ruchu, chodzi,  
I sukienkę tak podnosi...  
(Udaje że podnosi suknię jak starsze panie).  
I poważnie, i powoli,  
Spaceruje po ogrodzie...  
(Patrzy w okno).

Oni pewnie są już w lesie?  
Ach! lecz... cóż mnie to obchodzi?...  
(Porusza ręką lekceważąco)

Pójdę w ogród. Słońce piecze!  
Nudno dzisiaj tam w ogrodzie!  
Co innego tam wśród lasu...  
Tam cień taki... Tu pochodzę!

(Wkłada ręce w kieszonki i poważnie spaceruje po pokoju, ziewa, patrzy w okno).

Ależ siedzą te dzieciaki!  
A to już... (patrzy na zegar) co! wpół do trzeciej!  
Jak to wcześniej! jakże długo  
Dnie się ciągną teraz w lecie!

(Siada znów, ziewa i z miną zmęczoną przerzuca kartki książki, mruga oczami walcząc ze snem, wreszcie usypia, wchodzi mama i cicho mówi:)

(d. n.)

Marta IV.



# Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich.

przeżyła M. B.

(Dalszy ciąg).

Djabł trudniejszy był do wynalezienia, jak pomieszczenie dla dzieci, to też nie mówiąc nic więcej, wachmistrz skinął na kolegę, jeden wziął Melcię za rękę, drugi Iwonka i wyszli na ulicę. W pięć minut później wchodzili do żandarmeryi.

— Wejdźcie tu na prawo — rzekł wachmistrz drzwi otwierając.

— Co z nami będzie? — zapytała Melcia cichutkim głosem.

— Najpierw jeść dostaniecie, i głośno zaczął wołać na żonę:

— Joasiu, Joasiu!

— Ach, to głos taty! i dwaj mali chłopcy w wieku Iwonka i Melci wpadli do pokoju i rzucili się żandarmowi na szyję, ten się schylił by ich ucałować.

— Gdzie mama?

— Tu jestem Franiu — odezwał się głos kobiecy z sąsiedniego pokoju. — Muszę okrasić kapuśniak, który mieć będziemy na obiad.

— Ach! — zawołał Iwonek osuwając się na krzesło.

— Co ci jest? — pytała Melcia kłękając obok niego.

— Chciałbym się wody napić... Przecież szklanka wody nic nie kosztuje!... Musi tu być jakaś studnia?

— Niema potrzeby iść do studni! — rzekł jeden z chłopców, wyjął szklankę z kredensu napenił ją wodą z karafki stojącej na stole i podał Iwonkowi mówiąc:

— Masz, napij się.

Woda była doskonałą czysta i świeża.

— Prosiłbym bardzo, jeszcze o jedną szklankę wody dla Melci, jej się też pewno chce pić. Powiadam ci Melciu, doskonała woda, ma smak naszej dawniejszej, którą piliśmy w domu.

— Dziękuję bardzo, jak to grzecznie być tak uprzejmym dla nas nieznanym — rzekła Melcia do chłopczyka, który jej podawał świeżą szklankę wody.

W czasie tego weszła do pokoju wysoka młoda kobieta i rozmawiała z wachmistrzem.

— Biedne dzieci, miałaś wielką rację przyprowadzając je tutaj — mówiła do męża — znajduję, że chłopiec podobny do naszego Piotrusia... Wystaw sobie nasze dzieci porzucone na drodze, bez chleba, nie mające pieniędzy... każde dziecko postąpiłoby tak samo, to nie nazwa się kradzieżą..

— Ależ owszem...

— Daj temu pokój, Pan Bóg za sieroty zapłaci... Patrz jak rozmawiają z naszymi malcami, to pokazuje, że dobre stworzenia, gdyby się mieli z czem ukrywać, byłiby posępni i niedowierzający. Włożę jeszcze więcej masła do zupy, dam im porządne porcje, biedne dzieciaki!

Ach, jakże im smakował kapuśniak, gorący, dobrze okraszony i ofiarowany z takim pocziwem sercem, Szymuś najstarszy synek, chciał koniecznie aby Melcia przystała na trzeci talerz. Drugiego odmówić nie mogła, ale

wstydziłyby się zjeść trzy talerze... Iwonek, nie kazał się prosić, Piotruś równy mu wiekiem, śmiał się z jego apetytu i nalewał mu jabłeczniku, by miał czem złą popijać.

— Musiałeś być okrutnie głodny — mówił, patrząc na niego z podziwem.

— Już oddawna nie najadłem się do syta, byłem bliższy śmierci z głodu, jak z przejedzenia — odrzekł Iwonek, i śmieli się obaj wesoło, w najlepszej już z sobą przyjaźni.

Po obiedzie chcieli się bawić, a Szymuś usilnie namawiał Melcię by się do nich przyłączyła.

— Nie, nie mogę... jesteśmy bardzo zmęczeni...

— Gdzie my ich spać położymy, Joasiu? — pytał wachmistrz żony.

— Pościelę im w pokoju Ferdynanda, który wyjechał za urlopem.

— Nie można, bo jeżeli mer się dowie, że umieszczamy awaturników w pokoju żandarma, gotów podać na mnie skargę...

— Zkąd on się o tem dowie?

— Znajdą się zawsze zazdrośni i nieprzychylni... żona Lamberta krzywo patrzy na ciebie, korci ją żeś lepiej od niej ubrana, gospodarniejsza, oni sami gotowi nas zaskarżyć...

— Jednakże nie możemy przecież wyrzucić tych dzieci na ulicę...

— To nie, ale wierzaj mi, w pokoju żandarma... nie mogę... doprawdy nie mogę!

W tej chwili wszedł Lambert, żandarm, który wraz z wachmistrzem zatrzymał dzieci na drodze i widząc jak mali więźniowie bawią się i śmieją z synkami zwierzętnika, zrobił minę wielce zdziwioną.

— Przepraszam, że przeszkadzam o tej godzinie, ale myślałem, że będę potrzebny do przeprowadzenia małych włóczęgów na stare probostwo.

— Na stare probostwo? a komuż ta myśl przyszła do głowy — zawołała ze zgorszeniem Joanna. — Chyba żeby dzieciaki pomarły z zimna i ze strachu!...

— To rzecz pana mera — odrzekł Lambert trochę urażony.

— Ale słyszałeś przecie, że mu powiedziałem o woli kapitana, by nie pomieszczać tam więźniów zanim dach naprawionym nie będzie.

— Tak, tak, słyszałem, ale jedna noc to nie wieki, przejdzie prędko i tym włóczęgom nie się nie stanie...

— A więc proszę pomieścić tam swoje dwie córeczki, zobaczymy co one powiedzą? A wszyscy w oczach Boga jesteśmy równi, czy to dziecko bogatych rodziców, czy biedna sierota bez chleba i dachu — rzekła oburzona Joanna.

— Ale te dzieci... kradły mleko!

— Nie dziewczynka w każdym razie — wtrącił wachmistrz — a ze strony chłopca czyż można to nazwać kradzieżą? Gdyby chociaż za grosz wziął mleka komuś z domu, to co innego, ale głodny, spragniony, że posadził kozę w polu... a zresztą czyż to jest racja by je narażać na niechybną śmierć z przeziębienia? Na honor nie sędzę.

— Prawdę mówisz, Franusiu, a tobie nikt braku uczciwości zarzucić nie może, nawet sam komendant brygady zaświadczy za tobą, długo przecież służyłeś pod



nim... to mówiąc Joanna z widoczną niechęcią spoglądała na Lamberta.

— Powtarzałem tylko rozkaz pana mera, boim go spotkał przed chwilą powracającego do siebie.

— „Zamknijcie dobrze tych małych włóczęgów — rzekł do mnie — mała wydaje się bardzo przebiegłą”... a teraz rób sobie co uważasz za stosowne, jesteś tu przecież wachmistrzem, to mówiąc Lambert uklonił się i wyszedł.

— Malcy nie płakać, już ja wszystko biorę na siebie — rzekła Joanna.

— Ale gdzież ich położysz Joasiu? — zapytał mąż.

— Na strychu...

Na te słowa, płacz przed chwilą przerwany wybuchnął z nową siłą.

(d. c. n.)

## SZARADA.

*Trzecie-pierwsze* to w sieci rybaków znajdziecie;  
Jest ich moc niezliczona. Tam też bywa trzecie,  
Jest nim stały mieszkaniec wód słodkich złowiony.  
*Wszystko* będzie materyał w ziemi znaleziony,  
Służący do wyrobu naczyń delikatnych,  
Lekkich, białych, a często udatnych i kształtnych.

Z A G A D K A.

p. E. L.

Jestem rzeczą tak prostą, że mnie na tym świecie,  
W zwykłej mojej postaci pozna byle dziecko.  
Zakreślam wymiar światów, ułatwiam podróże,  
Po młynach i fabrykach zawsze ludziom służę.  
Pojawiam się też często i na wodnych falach,  
A z rąk zręcznych tancerzy tworzę się na balach.  
Znaczenie moje w mowie, nie jest również ciasnem,  
Bo jestem i przyimkiem i imieniem własnem,  
Miasta, co jakby wyspą wznosi się na Warcie  
A teraz macie wszystko, jasno jak na karcie.

## ŁAMIGŁÓWKA KRYSTAŁOWA. od Salamandry dla Terkotki.

1. Spółgłoska.
2. Kwiat polny.
3. Imię żeńskie.
4. . . . .
5. Cieśnina przy oceanie Atlantyckim.
6. Dopływ Warty.
7. Spółgłoska.

Rząd środkowy oraz środkowe litry powinny złożyć nazwę miasta nad rzeką Leną.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 24-go.

*Szarady:* Si — to.

## Łamigłówki sylabowej:

- 1) Jan. 2) Aar. 3) Narew. 4) Zagrzeb. 5) Aga. 6) Ceres.
- 7) Honduras. 8) Adelajda. 9) Rodan. 10) Jawa. 11) Alaryk.
- 12) Salerno. 13) Izeo. 14) Elba. 15) Werona. 16) Ikwa.
- 17) Cieszyn. 18) Ziemowit.

Jan Zacharjasiewicz.

## Rebusiku:

Bitwa pod Grunwaldem.

## Skrzynka do listów.

Przesyłamy powtórnie *Zdzisławowi K.* z *S.* zaginiony na pocztę Nr. 22, jeżeli wszakże cieszymy się, że mamy w nim pilnego czytelnika, przykro nam jest, że jak wnosić można z niezbyt kształtnego jego pisma, zaniedbywać musi naukę kaligrafii. Radzimy mu więc z prawdziwej dla niego życzliwości więcej uwagi w tym względzie, foremne bowiem i czytelne pismo jest jednym z warunków ogólnego wykształcenia człowieka. Mamy nadzieję, że w liście następnym sprawdzić będziemy mogli, że rady nasze požądany skutek odniosły.

Szarady i łamigłówki trafnie rozwiązali: *Wróbelek*, *Helenka D.*, czarny *Łabędź*, *Henryk W.*, *wesoła Figlarka* i *Reginka S.*, której układu łamigłówka, po uznaniu jej za odpowiednią, wtedy dopiero drukowaną być może, gdy na nią kolej nadejdzie.

Na pytanie *D. O.* ile powieści w formacie książkowym wychodzi na rok w Wieczorach, nietylko marnej jak ja ptaszynie, ale każdemu trudno byłoby dać dokładną odpowiedź, zależy to bowiem od większej lub mniejszej długości drukujących się utworów, których pod jedną miarę objętości podciągnąć niepodobna.

Zapewniam cię *Promyczku* z *Białej Rusi*, że chwilowe opóźnienie w nadejściu pisma nie z naszej winy pochodzi. Nie martw się tedy przypadkową zwłoką, lecz donieś o tem spiesźnie *Redakcyi*, która brakujący numer natychmiast innym zastąpi. Za nadesłane od ciebie i dwóch twoich braciszków *Jasia* i *Walusia*, oraz szanownej waszej nauczycielki rs. 4 kop. 50 na kolonie letnie, w imieniu obdarowanych serdeczne podziękowanie.

Cierpliwość nie musi być jedną z głównych zalet charakteru twego, *wesoła Figlarko*, skoro nie doczekawszy się odpowiedzi mojej, która właściwą koleją dochodzić cię musi, czynisz złowrogie o losach korespondencji naszej przypuszczenia. Wdzięczną ci jestem wszakże za chęć częstej ze mną gawędki listownej i cieszę się, że wśród uczenia 6-ej klasy, gdzie, jak piszesz, nauka nie żartem idzie, gorliwą i życzliwą korespondentkę mieć będzie

*Jaskółka.*

## NA KOLONIE LETNIE ZŁOŻYLI:

*Red. Siej.* rs. 2. — *Wróbelek* rs. 1. — *Promyczek* z *Białej Rusi* z braciszkiem *Walusiem* rs. 1 kop. 50. — *Jaś H.* rs. 1. — *p. Lucyna Z.* rs. 2. — *p. S. K.* rs. 3, — pracownice ze Szkoły Rzemiosł *p. Wandy Rafalskiej:* sukienek 10, koszulek 3, fartuszek 1.